

## Dariusz Gawin: Gombrowicz jako prawodawca

Wielkie zwycięstwo Gombrowicza jako wychowawcy Polaków polega na tym, że polscy inteligenci całkowicie wchłonęli i przyswoili sobie jego program krytyczny. Porażka polega zaś na tym, że jego wychowankowie nie umieją łączyć bieguną krytyki z biegunem afirmacji. Ich świat jest płaski, jednowymiarowy – pisze Dariusz Gawin w książce „Blask i gorzycz wolności”. Tekst przypominamy w 53 rocznicę śmierci Witolda Gombrowicza.

Przeciętnemu polskiemu inteligentowi Gombrowicz kojarzy się z bezlitosną krytyką tradycyjnego patriotycznego wychowania, którego centralnym punktem jest naiwna apoteoza polskiego mesjanistycznego romantyzmu. Każdy z nas pamięta lekcję polskiego z Ferdydurke, kiedy to nieszczęsnym uczniom wbija się do głowy sentencję, że „Słowacki wielkim poetą był”. Morał zapamiętany ze szkolnego odczytania Gombrowicza sprowadza się zatem przeważnie do stwierdzenia, iż wszelkie projekty wychowawcze muszą być z istoty swojej podszyte groteską i symboliczną przemocą. Czy jednak autorowi Ferdydurke chodziło o całkowite i ostateczne odrzucenie wszelkich projektów wychowawczych? A może raczej atak na romantyczną legendę służył tylko przygotowaniu gruntu dla przeprowadzenia własnego wielkiego programu wychowania Polaków? Odrzucenie romantycznej mitologii w tej perspektywie nie tyle miało służyć otworzeniu perspektywy nieokiełznanego indywidualizmu, ile raczej wychowaniu pokolenia takich indywidualistów, którym nigdy nie zaświta w głowach myśl, że ich cała – na pozór oryginalna – osobowość jest wynikiem świadomego

wysiłku wychowawczego. Jaki to zatem program przyświecał Gombrowiczowi, gdy przystępował do ostatecznej rozprawy z polską tradycją?

Uderzającą cechą tekstów Gombrowicza jest świadoma proklamacja wychowawczych zamiarów. Gombrowicz wcale nie ukrywa, iż jego atak na dotychczasowy kształt polskiej tradycji nie jest czynnością autoteliczną, lecz tylko wstępem do przeprowadzenia zamysłu daleko bardziej ambitnego, którego istotą jest przekształcenie polskiej tożsamości i nadanie jej nowego, to jest gombrowiczowskiego kształtu. Tylko pozornie zatem taka rola może być określona jako rola buntownika. W istocie chodzi raczej o kogoś, kogo można określić jako proroka czy też prawodawcę. Gombrowicz pisze o tym zresztą wprost w pierwszym tomie swojego *Dziennika*: „Poniekąd czuję się Mojżeszem. Zabawna, doprawdy, w naturze mojej ta skłonność do przesady na własnym punkcie. W marzeniach nadymam się, jak mogę. Ha, ha, dlaczego – zapytacie – czuję się Mojżeszem? Sto lat temu litewski poeta wykuł kształt polskiego ducha, dziś ja, jak Mojżesz, wyprowadzam Polaków z niewoli tego kształtu, Polaka, z niego samego wyprowadzam”. Mocne słowa. Naturalnie Gombrowicz nie byłby sobą, gdyby nie osłabił mocy tej deklaracji autoironią – już w następnym zdaniu wyznaje bowiem: „Uśmiełem się do łez z mojej megalomanii”.

W roku 1953 takie deklaracje mogły wyglądać co najwyżej na błazenadę, jednak już wtedy byli ludzie, którzy przeczuwali, co w istocie się święci. Józef Wittlin we wstępie do pierwszego wydania *Trans-Atlantyku* pisał do emigracyjnych czytelników, że życie dzieł Gombrowicza zacznie się na dobre, kiedy „pozornie o nich zapomnimy, gdy będziemy już zajęci czym innym”. Wtedy właśnie „powoli, lecz nieuchronnie zacznie nas (...) nurtować Gombrowicz. Trudno go będzie

nam wyprosić z naszej świadomości. Już on tam gospodaruje, już demoluje różne fetysze, totemy i tabu. Ale też „działa” konstruktywnie, oczyszczająco”. Prorocze słowa.

Program Gombrowicza został wyłożony już na pierwszych stronach *Dziennika*. Jego wykład zaczyna się od polemiki z Lechoniem, który miał to nieszczęście, iż napisał gdzieś, że Tomasz Mann uznawał *Nie-Boską* komedię za wielkie dzieło. Gombrowicz jadowicie kwituje taką obronę polskość: „tym to cukrem od dawna się krzepimy”. Taka pisanina to nic więcej jak spełnienie patriotycznego, rytualnego obowiązku. Atak na Lechonia to jednak tylko wstęp, tylko pierwszy element z całego ciągu skojarzeń: „Kiedyś zdarzyło mi się uczestniczyć w jednym z tych zebrań poświęconych wzajemnemu polskiemu krzepieniu się i dodawaniu ducha... Gdzie odśpiewawszy *Rotę* i odtańczywszy krakowiaka, przystąpiono do wysłuchiwanie mówcy, który wysławiał naród, albowiem «wydaliśmy Szopena», albowiem «mamy Curie-Skłodowską» i Wawel, oraz Słowackiego, Mickiewicza i, poza tym, byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa a Konstytucja Trzeciego Maja była bardzo postępową”. Nie ma potrzeby przytaczać dalszego ciągu. Każdy polski inteligent zna na pamięć nie tylko dalszy ciąg, lecz także całą linię rozumowania, którego dopełnieniem jest komentarz: „Geniusze! Do cholery z geniuszami! Miałem ochotę powiedzieć zebrany: – Cóż mnie obchodzi Mickiewicz? Wy jesteście dla mnie ważniejsi”; i dalszy ciąg, w którym Gombrowicz dowodzi, że tam, gdzie jest obecna Polska, tam Polacy stają się mniejsi i głupszy od siebie samych, bo to właśnie ona wprowadza pomiędzy nich fałsz i skrępowanie, i ona jest odpowiedzialna za to, że wobec Polski Polak nie umie się zachować.

Dlatego, jak objaśnia autor *Trans-Atlantyku*, najlepszym sposobem obrony jest atak – pewnego razu w towarzystwie, w którym toczyła się rozmowa o Polsce, zaczął się mianowicie zachowywać ostentacyjnie lekceważąco w stosunku do polskiej tradycji: „Jesteście ubogimi krewnymi świata, którzy usiłują imponować sobie i innym”. Brutalna ironia nie jest tu jednak tylko instrumentem obrony – jest także instrumentem wychowawczym. Czymś w rodzaju obowiązkowego, porannego prysznicza w lodowatej wodzie, który dla wyrobienia charakteru zalecali teoretycy pedagogiki z początku dwudziestego wieku.

*Brutalna ironia jest także instrumentem wychowawczym. Czymś w rodzaju obowiązkowego, porannego prysznicza w lodowatej wodzie, który dla wyrobienia charakteru zalecali teoretycy pedagogiki z początku dwudziestego wieku*

Konieczność tak drastycznych środków wychowawczych wynika z powagi położenia. Polska tożsamość przybrała bowiem formy patologiczne. Określeniem owej jednostki chorobowej jest „forma osłabiona”, czy też forma

zdegradowana. Najbardziej klasyczna jej definicja pada w rozmowach z Dominikiem de Roux: „Czymże jest Polska? Jest to kraj między Wschodem i Zachodem, gdzie Europa już poczyna się wykańczać, kraj przejściowy, gdzie Wschód i Zachód wzajemnie się osłabiają. Kraj przeto formy osłabionej. (...) Na tych równinach otwartych na wszystkie

wiatry, odbywała się od dawna wielka dekompozycja Formy i jej Degradacja”. Każda forma posiada swoje historyczne zakorzenienie, czyli swoją tradycję. Stąd też wyzwolenie od dotychczasowej formy polskiej oznaczałoby powstanie nowego stosunku do narodowej przeszłości. Jeśli bowiem tradycja polska formuje pokracznych, obciążonych taką tradycją Polaków, to w celu uzyskania nowego ich kształtu, należałoby zmienić także polski sposób pisania o własnej historii. W drugim tomie *Dziennika* Gombrowicz pisze zatem: „Nie będąc już zmuszeni do kochania i uwielbiania polskości, nie potrzebowalibyśmy też kochać naszej historii. Upatrując naszą wartość nie w tym, czym jesteśmy, a w tym, że zdolni jesteśmy przewyciężyć siebie, nasz kształt obecny, moglibyśmy odnieść się do historii jak do wroga”. I dalej czytamy prawdziwie prorocze słowa, kiedy to Gombrowicz snując marzenia pisze, iż widzi ów przyszły „ton nowy w historiografii, chłodny, może niechętny, może sarkastyczny lub wzgardliwy”. Zaprawdę, żyjemy już w świecie, o którym on pół wieku temu tylko mógł marzyć.

W uproszczonej postaci zatem wielki projekt wychowawczy Gombrowicza w stosunku do Polaków można zrekapitulować w następujący sposób – konsekwentna, bezlitosna ironia w stosunku do tradycji i narodowej formy ma na celu wychowanie osobników odruchowo podejrzliwych i zdystansowanych do wszelkich jej przejawów, czyli do wszelkich symboli, rytuałów i mitów. Los mitu Solidarności albo powszechne już dzisiaj utyskiwanie na brak symbolicznego punktu początkowego III RP stanowią miarę triumfu gombrowiczowskiego projektu wychowawczego. Nawet bowiem najbardziej krytyczni wobec tradycyjnej polskości inteligenci z bolesną zadumą konstatają fakt, iż w świadomości zachodnich społeczeństw to raczej obalenie muru berlińskiego a nie okrągły stół lub strajki sierpniowe stało się symbolem zwycięstwa nad komunizmem. W istocie

jednak sprawa jest niestety dość prosta – jak ludzie wychowani na *Dzienniku* lub *Trans-Atlantyku* mieliby umieć podtrzymywać mity i budować symbole, skoro cała ich gombrowiczowska *paideia* sprowadzała się do ćwiczenia odruchu całkowitej i bezkompromisowej dezynwoltury w obliczu jakichkolwiek mitów?

A jednak sukces Gombrowicza można określić jako pozorny, ponieważ jego istotę stanowi – to moja zasadnicza teza – opaczne odczytanie intencji Wielkiego Wychowawcy. Ostatnią rzeczą, jakiej mógł pragnąć Gombrowicz, było bowiem zarażenie Polaków alergią na polskość. Stosunek autora *Wspomnień polskich* do polskości nie daje się sprowadzić do automatycznego krytycyzmu. Widać to wyraźnie, jeśli porówna się Gombrowicza z Miłoszem, który do końca swojego życia reagował jak najgorzej na samo słowo „naród”, tym bardziej na pojęcie „naród polski” – pojęcie, które zawsze kojarzyło mu się z Lechitami, czyli plemieniem żyjącym w dorzeczu Wisły i cierpiącym na notoryczną skłonność do nacjonalizmu. Odmienność postawy autora *Trans-Atlantyku* daje się zauważyć na poziomie samego języka – Gombrowicz nie ma żadnych kłopotów z używaniem zaimka „my”, gdy chodzi mu o Polaków. W istocie zawsze, gdy atakuje tradycyjną polskość i polską formę, dąży nie tyle do jej unicestwienia, ile do jej pobudzenia i wzmocnienia. Dosłownie mówi o „dwóch biegunach”, które można określić jako bieguny krytyki i afirmacji.

Wielkość Gombrowicza i miara jego triumfu bierze się stąd, że wszyscy grawitujemy wokół bieguna wyznaczonego przez gombrowiczowską krytykę. Nędza i klęska Gombrowicza polega na tym, że w ogóle nie pamięta się dzisiaj o drugim z jego biegunów, o biegunie gombrowiczowskiej afirmacji polskości. Jeśli jednak pamiętamy, że ironia i krytyka była tylko narzędziem służącym wzmocnieniu

polskości, to klęska okazuje się większa od sukcesu. Zwyciężyło bowiem to, co miało pełnić rolę środka wiodącego do celu; sam cel jednak został zarzucony i zapomniany.

*Wielkość Gombrowicza i miara jego triumfu bierze się stąd, że wszyscy grawitujemy wokół bieguna wyznaczonego przez gombrowiczowską krytykę. Nędza i klęska Gombrowicza polega na tym, że w ogóle nie pamięta się dzisiaj o gombrowiczowskiej afirmacji polskości*

Z wielu możliwych cytatów przytoczmy w tym miejscu tylko jeden, ilustrujący siłę organicznego niemalże związku pierwiastka krytycznego i afirmatywnego w myśleniu Gombrowicza o polskości. W pierwszym tomie *Dziennika* opisuje

mianowicie swój sen (oniryczna konwencja groteski służy zakamufłowaniu powagi deklaracji), w którym objawił mu się ni mniej nic więcej, tylko sam „Duch” i wręczył „Program”. Były w nim następujące punkty: „1. Literaturze polskiej, fatalnie spłaszczonej i skapcianałej, słabowitej i lękliwej, przywrócić pewność siebie. Stanowczość i dumę, rozmach i lot. 2. Oprzeć ją mocno na «ja», jej suwerenność i siłę, wprowadzić na koniec to «ja» w polszczyznę (...) ale uwydatnić jego zależność od świata. 3. Przetawić ją na tory najnowocześniejsze i to nie powolutku, ale skokiem, ot tak, wprost z przeszłości w przyszłość (...). Wprowadzić ją w najtrudniejszą problematykę, w najboleśniej przełomowe komplikacje, ale nauczyć ją lekkości i lekceważenia i tego, jak ma zachować dystans. Nauczyć wzgardy dla idei i kultu osobowości. 4. Zmienić jej stosunek do formy.

5. Zeuropeizować – ale zarazem wyzyskać wszystkie możliwości aby przeciwstawić ją Europie”. Tak, to prawda, mamy w tym fragmencie dystans i formę, mamy wszystko to, co stało się obiegowym odczytaniem gombrowiczowskiej krytyki polskość. Ale oprócz tych oczywistych i stereotypowych tropów mamy również coś innego, na co naprowadzają naszą uwagę takie słowa-klucze jak „stanowczość”, „duma”, „rozmach” wreszcie „suwerenność”. To właśnie jest język afirmacji, który zawsze u Gombrowicza dopełnia fragmenty krytyczne. Za najlepszy przykład takiego stałego uzupełniania może posłużyć przytoczony wcześniej fragment, w którym Gombrowicz zdradzał swoje marzenie o przyszłej „wzgardliwej” i „chłodnej” historiografii polskiej, zdystansowanej do przeszłości i tradycji. Tuż po nim bowiem, tuż po fragmencie krytycznym – czytamy: „Mnie nie idzie o to, aby usunąć tamtą afirmującą (tradycję – D.G.), a jedynie wzbogacić nasze możliwości”. „Wzbogacić nasze możliwości” – ciekawe zdanie. Jego sens sprowadza się bowiem do myśli, iż poprzestawanie na samej części krytycznej gombrowiczowskiej *paidei* prowadzi w istocie do pogorszenia a nie polepszenia sytuacji polskiego inteligenta.

Ciekawe, że ten sam sposób rozumowania można odnaleźć w tych fragmentach *Dziennika*, w których Gombrowicz opisuje stosunek Polaków do Zachodu i Europy. Jest to temat tym bardziej interesujący, że właśnie teraz nasza ostateczna integracja z Europą dokonuje się za sprawą pokolenia inteligencji wychowanej na *Ferdydurke* i *Trans-Atlantyku*. Posłuchajmy zatem: „Nie będziemy narodem prawdziwie europejskim póki nie wyodrębnimy się z Europy – gdyż europejskość nie polega na zlaniu się z Europą, lecz na tym, aby być jej częścią składową specyficzną i nie dającą się niczym zastąpić”. Kiedy z kolei pisze o swoim wielkim programie, który „podszeptał polskiej inteligencji”, jego istotę widzi nie w rywalizacji z Zachodem, ale w obnażeniu własnego stosunku do formy. Tylko wtedy „będziemy

silniejsi, bardziej suwerenni i skuteczni”. W innym zaś miejscu, gdy komentuje *Człowieka wśród skorpionów*, rzuca krytyczną uwagę: „Miłosz chce, aby inteligencja polska dogoniła Zachód. Jest wyrazicielem powojennego polskiego zrywu w kierunku «europejskości» i «nowoczesności». A ja, szlachcic hreczkosiej panie święty starej daty, wyciągam rękę i powiadam – z wolna! nie tędy droga! po diabła wam to?” I dodaje: „Dziś moim zdaniem polska «letniość» ma szanse i nie powinna się wstydzić”.

Odzywa się w tym fragmencie „pańskość” Gombrowicza. Kiedy sarmacka, pańska forma szlachecko-tradycjonalistyczna zdaje mu się ciężarem nie do zniesienia, walczy z nią, jest okrutny i bezwzględny w ironii, ba! – w szyderstwie nawet, jak ma to miejsce w *Trans-Atlantyku*. Sarmacka lokalność jest wtedy nie do zniesienia bezforemna i kompromitująca. Kiedy indziej jednak, wychodząc od tej samej sarmackiej pańskości („ja hreczkosiej” – !), znajduje w niej dostateczną podstawę do rzucenia wyzwania samej – *horribile dictu* – Europie, jako ideałowi Formy doskonałej. Tkwi w tej postawie sugestia, iż peryferia mogą mieć jakąś przewagę w stosunku do centrum. Ta myśl wydaje się tym bardziej interesująca właśnie dzisiaj, gdy wielki projekt nowoczesności – rozumianej jako Forma czysta – odchodzi w przeszłość. W takiej sytuacji to, co było przekleństwem peryferyjnej bezforemności, co naznaczało ją piętnem trwałego bycia nie na czasie, może stać się atutem. Od zawsze przyzwyczajeni do życia w warunkach formy zdegenerowanej, Polacy nie muszą się uczyć życia w świecie post-nowoczesnym. To, co było przed-nowoczesne staje się niejako automatycznie w nowych warunkach po-nowoczesne. Niewczesność polskiej kultury to już nie przekleństwo, lecz szansa. Teraz to Paryż – z płonącymi w podmiejskich slumsach samochodami, musi uczyć się żyć w warunkach niewczesności. Paryż – a nie Warszawa, która – tak, to prawda, że brzydka, że chaotyczna, zniszczona przez Hitlera i Stalina –

jest dynamiczna i która już dawno tę bolesną lekcję ma za sobą. W pańskim stosunku Gombrowicza do własnej tradycji i własnej narodowej kultury można dostrzec zasadniczą różnicę pomiędzy nim, a jego nadgorliwymi naśladowcami – u niego krytycyzm wynika z siły; u nich z kompleksów. Gombrowicz chce być sobą, i nikt, nawet mityczny Paryż, nie może mu dyktować warunków; zakompleksieni polscy inteligenci chcą w istocie jak najszybciej przestać być sobą i osiągnąć mistrzostwo w sztuce mimikry.

*Od zawsze przyzwyczajeni do  
życia w warunkach formy  
zdegenerowanej, Polacy nie  
muszą się uczyć życia w  
świecie post-nowoczesnym.  
To, co było przed-nowoczesne  
staje się niejako  
automatycznie w nowych  
warunkach po-nowoczesne*

Nigdzie jednak  
Gombrowicz nie  
wykracza równie  
zdecydowanie poza  
granice zakreślone  
mu przez jego  
nieuważnych  
wyznawców i  
płytkich  
gombrowiczologów  
jak w trzecim tomie  
*Dziennika*, gdy zdaje  
relację ze swego

pobytku w Berlinie Zachodnim. Fragmenty te są o tyle intrygujące, że wówczas ściągęły na niego oskarżenia o narodowe zaprzaństwo, dzisiaj zaś brzmią dla współczesnego ucha jako przykład wyjątkowej niepoprawności politycznej. Przyjęcie stypendium Forda w byłej stolicy Niemiec ledwo w dwadzieścia lat po wojnie odebrane zostało fatalnie. Propaganda peerelowska rozpętała nagonkę na Gombrowicza (jej kulminacyjnym momentem było opublikowanie w „Życiu Literackim” rzekomego wywiadu z pisarzem przez Barbarę Swinarską). Ale niechęć do niego nie ograniczała się tylko do propagandzistów. Niechęć

opinie o całej sprawie można znaleźć na przykład w dziennikach Marii Dąbrowskiej, autor *Ferdydurke* był też z tego powodu atakowany na emigracji. Dzisiaj, kiedy kwestia pamięci ostatniej wojny w stosunkach polsko-niemieckich jest znów żywo dyskutowana, akurat tej części *Dzienników* nigdy się nie przywołuje. Zbyt wyraźnie bowiem nie pasują do ortodoksyjnej wersji Gombrowicza.

W czym zatem rzecz? Nie chodzi mi tutaj o niezwykle opis jednego z pierwszych spacerów po Tiergarten, gdy Gombrowicz poczuł zapachy, które nieodparcie skojarzyły mu się z Polską – a przecież jest w tym opisie środkowoeuropejskich zapachów coś z proustowskiej szczerości dla prawdy wspomnień – nazwijmy to tak – organoleptycznych. Tiergarten o tej porze roku i na tej szerokości geograficznej wygląda bowiem jak typowy środkowoeuropejski las, w którym sosny mieszają się z drzewami liściastymi, i czuje się zapach opadłych liści, igieł i czegoś jeszcze, jakiejś wilgoci i rozkładu zarazem. Wypisz, wymaluj Małoszyce, Bodzechów. Chodzi raczej o sposób, w jaki Gombrowicz opisuje Niemców. Tak, dostrzega „cud gospodarczy”, dostrzega precyzję i dynamikę, dostrzega nowoczesność i wielki skok w poziomie zamożności. Niemcy są grzeczni, poprawni, moralni, dobroduszni, życzliwi – „Jacyż europejscy (...) spokojni i swobodni, ani szczypty szowinizmu czy nacjonalizmu, rozległe perspektywy w skali światowej (...)”. A jednocześnie – „spojrzałem na ścianę i zobaczyłem tam wysoko, prawie pod sufitem, wbity w ścianę hak, w gołą ścianę wbity samotnie, tragicznie (...)”. W tę całą sytuację, tak pozornie cywilizowaną i tak uładzoną wkładało się coś niezręcznego, coś, o czym wszyscy chcieli zapomnieć: „Wiedziałem, że oni ze mną nie chcą być «Niemcami», podobnie jak ja z nimi nie chciałem być «Polakiem» – i może nawet, kto wie, oni już w ogóle nie chcieli być Niemcami, rzućni w świat, zaczynający od początku (...). A jednak hak tkwił w ścianie!” Wizja haka w ścianie staje się natrętna – powraca w Nowy Rok. Gombrowicz

notuje, opisując moment składania życzeń noworocznych: „Ten Nowy Rok w Berlinie okazał się doskonale spokojny, mieszczański, bez Czasu właściwie i bez Historii. Byli więc ludźmi prywatnymi. I ja, który zawsze wysilałem się, żeby być w życiu istotą prywatną, nie mogłem temu nie przyklasnąć. Obywatele świata. Europejczycy. Tylko ten hak w ścianie, wbity, wbity ... tylko ów kościotrup bratni, śmierć w pobliżu”.

Czy jednak rzeczywiście bez czasu i historii? Prawda, Berlin tamtego czasu – lat sześćdziesiątych, to wielki ośrodek nowej sztuki, to miasto zapraszające awangardowych architektów, którzy budowali wielkie nowe osiedla (sam Le Corbusier budował opodal stadionu olimpijskiego) i takie wielkie założenia jak Kulturforum, gdzie znalazło się miejsce na bibliotekę miejską, galerię sztuki i filharmonię; a wszystko w stylu wojującego z tradycją modernizmu. Berlin to miasto lecące w przyszłość, zrywające ze swoją historią. Pozornie zatem miejsce, którego klimat powinien korespondować z wielkim programem Gombrowicza. A jednak przeszłość okazuje się dla niego ważna – nie tyle jednak historia jako usypisko faktów i zdarzeń, ile raczej jako źródło tożsamości. Ponieważ minęło ledwo dwadzieścia lat od wojny, polskość, która budzi się w Gombrowiczu w trakcie berlińskiej eskapady, przybiera postać konfrontacji z tożsamością niemiecką.

Wyjeżdżając z Berlina Gombrowicz pisał: „Przyznajcie, że w mojej polskiej duszy Berlin, ten powojenny, musiał wywołać burzę – mściwości, zgrozy, sympatii, podziwu, potępienia, lęku, uznania, przyjaźni, wrogości – dla wszystkich tych uczuć i dla wielu innych znalazłoby się miejsce... Otóż nie. (...) Berlin stał się moją wewnętrzną przygodą ... ale z tego zdałem sobie sprawę dopiero teraz, powolutku, w czasie pisania”. To prawda, zachowanie Niemców było bez zarzutu,

pełne gościnności i nawet przyjaźni. Może dlatego, że jako Polak – jak sam zauważa Gombrowicz – ciążył im na sumieniu. A jednak kończy ten wątek w kategoriycznym tonie: „Na nic! Na nic! Nie bądźcie dziećmi, wasze uśmiechy i wszystkie wygody, jakie moglibyście mnie ofiarować, nie zniweczą jednej minuty jednego jedyne go z polskich konań wielotysięcznych, a tak urozmaiconych, o tak rozpiętej skali udręczenia. Nie dam się uwieść! Nie przebaczę!” Brzmi w tym wyznaniu ton bezradności. Gombrowicz jest uczciwy – rzetelnie zdaje relację ze swych emocji. To prawda – pisząc te pożegnalne słowa mógł mieć na myśli krajowego czytelnika. Ale nie tylko o opinię oficjalnej Polski mogło mu chodzić. Bardziej chyba o takich polskich inteligentów jak Maria Dąbrowska. Czytając ten fragment *Dzienników* nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż zdolność Gombrowicza do krytyki polskości była wprost proporcjonalna do fizycznego oddalenia od jej przedmiotu. W głębi duszy pozostawał jednak polski, arcypolski, w stopniu, który polscy inteligenci wychowani tylko i wyłącznie na krytycznej interpretacji jego Programu muszą dzisiaj siłą rzeczy odbierać jako w najwyższym stopniu gorszący. Jest bowiem coś przejmującego w tym budzeniu się tożsamości tak silnej, że zabarwionej wręcz stereotypem, u kogoś, kto stał się największym wrogiem mitów i stereotypów powojennej kultury. Gombrowicz – kometa z oddali wykręcająca na wszystkie strony roziskrzonym ogonem ironii i szyderstwa, krążąca jednak po orbicie wyznaczonej przez ośrodek grawitacji, jakim jest Polska.

Wielkie zwycięstwo Gombrowicza jako wychowawcy Polaków polega zatem na tym, że polscy inteligenci całkowicie wchłonęli i przyswoili sobie jego program krytyczny. Porażka polega zaś na tym, że jego wychowankowie nie umieją łączyć bieguna krytyki z biegunem afirmacji. Ich świat jest płaski, jednowymiarowy. Z gombrowiczowskiej nauki o formie polskiej zrozumieli tyle, że należy osłabiać każdą formę,

każdy rytuał i każdy mit, i że czynność ta ma charakter jak najbardziej autoteliczny. Nie potrafią zatem myśleć o krytyce jako tylko o wstępie do poszukiwania nowej, suwerennej formy polskiej. Zamiast tego fundują polskości stan chronicznego osłabienia, chronicznej deformacji oraz nieustającej transgresji. Myśląc odruchowo krytycznie o wszystkim, co kojarzy im się z tradycyjną polskością, nie potrafią dostrzec w niej żadnego oparcia, żadnej nadziei na zbudowanie formy własnej. Stąd całkowicie utożsamiają się z Zachodem, który mityzują i rozdymają do kształtu formy ostatecznej, ostatecznego rytuału i ostatecznego mitu, za pomocą którego chcą wychowywać bezforemnych rodaków. Dla wielu spośród wychowanków Gombrowicza krytyka polskości nie prowadzi zatem do rewizji tradycji, po to, aby odnaleźć w niej rzeczy dające solidne oparcie dla realnej pracy mającej na celu przekształcenie polskiej tożsamości, lecz do jej odrzucenia i zastąpienia mniej lub bardziej udaną repliką tego, co uważa się za standard zachodni. Po przeszło pół wieku od rozpoczęcia drukowania *Dziennika* w paryskiej „Kulturze”, pewne jest tylko, iż nie mamy już dawnych form polskości. Nowych jednak też jeszcze nie mamy. Trudno oczekiwać ich wypracowania od pokolenia, które uwierzyło w zbawczą moc imitacji. Gombrowiczowi – który na to wszystko patrzy z góry – nie jest chyba do śmiechu.

Esej pochodzi z książki *Blask i gorycz wolności*, która ukazała się nakładem wydawnictwa Ośrodka Myśli Politycznej.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego.

Dofinansowano  
ze środków Ministra  
Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego